

TO MUSI BYĆ POWTARZALNE

Piotr Grobliński: Odnieśliście wielki sukces na Festiwalu Szkół Teatralnych - tacy byliście dobrzy czy inne szkoły słabsze?

Mikołaj Chroboczek: Trudno to z naszej perspektywy ocenić, ale o jednym jestem przekonany - przez te cztery lata myśmy się ze sobą bardzo zżyli, zaprzyjaźnili i to są autentyczne, trwałe przyjaźnie. Spędzamy ze sobą dużo wolnego czasu, udaje nam się nadawać na tych samych falach. W tym sensie jesteśmy chyba rocznikiem wyjątkowym, bo do szkoły teatralnej przyjmuje się silne indywidualności, które muszą potem pracować w grupie. Taki zestaw silnych indywidualności musi się dotrzeć, dojść do jakiegoś kompromisu.

Są wśród was jakieś pary, małżeństwa?

Jeden kolega wziął ślub, ale nie z koleżanką z roku. Par chyba nie ma, ale osobiście uważam, że nasze dziewczyny są najlepsze na świecie, najpiękniejsze i najcudowniejsze, naprawdę. Laski z innych szkół w ogóle się do nich nie umywały, pod każdym względem.

Bardzo pan dla nich miły...

Zawsze będę mówił same miłe rzeczy na temat mojego roku, bo tak myślę. Gdy tutaj przyjeżdżam, to czuję się jak w domu. Teraz przez dwa dni gramy Ślub i odkąd wysiadłem na Kaliskiej, jestem wewnątrz rozpromieniony.

W Ślubie gra pan Ojca - bo pan poważniej wygląda, jest pan starszy od kolegów?

Jeśli chodzi o wiek, to sporo osób nie dostało się za pierwszym razem - ja też zdawałem trzy razy, teraz mam 25 lat. Reżyser spektaklu, pan Waldemar Zawodziński, przychodził na nasze egzaminy na drugim i trzecim roku, obserwował nas. Może mu się wydawało, że jestem na tyle emocjonalnie i intelektualnie dojrzały, że jeżeli ryzykować z taką rolą, to może ja, a nie kto inny. Warunki fizyczne na pewno też miały wpływ...

Będzie pan aktorem charakterystycznym?

Nie można zaplanować własnego emploi.

Można się do roli odchudzać albo próbować przytyć...

Nie jesteśmy w Ameryce. Tam aktorzy mają płacone takie honoraria, że mają dziesięciu instruktorów, którzy pomagają im schudnąć albo przytyć. To nie jest tak, że jak Daniel Day-Lewis miał grać w „Mojej lewej stopie”, to sobie w domu jeździł na wózku. Oni mają sztab ludzi do takich przygotowań, instruktorów, trenerów, dietetyków. U nas filmy są kręcone za jedną setną budżetów hollywoodzkich, więc polscy aktorzy posługują się na ogół swoją własną fizycznością.

Pan wygląda trochę inaczej niż koledzy...

No jestem charakterystyczny - mam ciemniejszą karnację, jestem grubszy, mam kręcone włosy, nie mam słowiańskiej urody, wyglądam raczej jak Cygan. Może to jest atut, może ktoś mnie zapamięta na castingach. Raczej nie zastanawiam się nad swoim wizerunkiem, nie uważam tego zawodu za festiwal urody czy stylizowania się.

Może stylizuje się pan na takiego, który się nie stylizuje, ta czapeczka w upał...

To po imprezie, zazwyczaj staram się ubierać schludnie i bez czapeczki.

Jak się gra ojca kolegi z roku?

To było bardzo trudne, w ogóle praca nad tym materiałem była trudna - bardzo specyficzny język, w

tekst wpisany konkretny rytm. Nie mówiąc o tym, że te postacie poruszają się w różnych przestrzeniach – przez chwilę są tu i teraz, a potem w jakiejś nierealnej rzeczywistości snu. Trudno powiedzieć o mojej postaci, że jest to standardowy ojciec, to jest postać z pogranicza jawy i snu, czasami jest potworem, koszmarem, a zaraz marzeniem na temat ojca.

Reżyser dużo panu pomógł?

Waldemar Zawodziński o „Ślubie” wie praktycznie wszystko, robił tę sztukę 4 czy 5 razy, jest tak wkręcony w temat, że mógłby z samym Gombrowiczem sobie podyskutować o różnych wariantach tekstu. Potrafił nas poprowadzić w tej robocie, natchnąć nas jakąś radością. To były bardzo ciężkie próby, ale niezwykle przyjemne, pasjonujące. W ogóle rok dyplomowy jest przełomowy, choćby z tego powodu, że spektakl gra się wiele razy, „Ślub” zagraliśmy koło 50 razy. Dopiero po 40 razach człowiek nabiera poczucia, na czym polega teatr – to musi być powtarzalne co wieczór, za każdym razem interesujące.

To może teraz pan wytłumaczy, dlaczego był pan narratorem w *Śpiewającym obrusiku*.

Najładniej pan czytał?

Coś takiego mówił Mariusz Grzegorzek – że ty „nam tu coś ładnie przeczytasz”. Przez chwilę byłem trochę zawiedziony, gdy w obsadzie zobaczyłem siebie jako narratora. Aha – pomyślałem – będę czytał z offu i w ogóle nie będzie widać mojej gęby, czyli właściwie nie gram w filmie. Ale okazało się, że to jest ciekawie filmowane, że to jest ważny element całej historii.

W pierwszej chwili bałem się, że to czytanie pójdzie w jakąś parodię, a było to subtelnie zrobione, tak na granicy... Nagrywałem to przed powstaniem scen, które opisuje tekst, więc nie widziałem, jak to będzie wyglądać. Mariusz Grzegorzek, który jest absolutnym wariatem (w pozytywnym znaczeniu), musiał mnie tam zaklinać. Mówił: to musi być natchnione, zaczarowane, groźne, magiczne. Że to nie do końca jest lektor, tylko demon, a może anioł.

Aktorom jest jeszcze potrzebna umiejętność władania słowem?

Nieźmiennie. Ja teraz przechodzę wielką szkołę, bo zacząłem pracować w Teatrze Współczesnym w Warszawie i na każdym kroku się przekonuję, czego jeszcze nie umiem. Robimy *Fantazego*, tam są długie monologi wierszem i nagle się okazuje, że nie jestem taki dobry i że trzeba nad tym dużo pracować.

Jest pan bardzo zajęty - trudno się było umówić...

Na razie robię to jedno przedstawienie, ale wygląda na to, że zostanę w Teatrze Współczesnym na stałe. Taki maraton zaczął się u mnie na czwartym roku, kiedy dostałem zaproszenie do Krakowa, do spektaklu Piotra Waligórskiego *Ballada o Nowej Hucie*. W tym samym czasie odbywały się próby tam i w szkole. Ciągle jeździłem, zwalniałem się, kombinowałem. Udało mi się jakoś to pogodzić, ale spędzam pół życia w pociągach.

Zrobicie jeszcze coś razem z kolegami z roku?

Myślę, że będziemy dalej pracować razem. Jest taki pomysł, żeby zrobić coś na kształt serialu teatralnego o dynastii Jagiellonów. Serial, czyli spektakl podzielony na kilka odcinków, które są kontynuacją historii. Wymyśliły to panie Monika i Gabrysia Muskały. Jeżeli uda się znaleźć dwa miesiące, żeby popробować, to na pewno coś zrobimy

A film?

Bardzo chciałbym grać w filmie, w szkole zrobiłem sporo etiud, bo często potrzebowali kogoś charakterystycznego. To świetna nauka, trening. To tylko u nas w szkole się odbywa – mamy obok Wydział Reżyserii i Wydział Operatorski, to wielki atut łódzkiej uczelni. Ja jestem wielkim pasjonatem polskiego kina, przed studiami oglądałem trzy filmy dziennie.

I dlatego postanowił pan zostać aktorem?

Chodziłem do klasy biologiczno-chemicznej w liceum w Tczewie. Jestem spod Tczewa - Mała Słońca to taka mała miejscowość, 250 mieszkańców. W kolejnych szkołach miałem świetnych nauczycieli, którzy wciągali mnie w różne inicjatywy artystyczne. Skończyłem zresztą to samo liceum, co Grzegorz Ciechowski - miało ciekawą atmosferę, zwłaszcza muzycznie. Śpiewałem w kilku zespołach, z bratem bliźniakiem robiliśmy kółka teatralne.

Brat też studiuje aktorstwo?

Będzie się starał, już dwa razy zdawał i mam nadzieję, że w końcu go przyjmą

Może go pomylą z Panem?

On jest w ogóle niepodobny, jesteście bliźniakami dwujajowymi. Jest szczupły, ma proste włosy, jest niższy ode mnie prawie o głowę. Bardzo zdolny.

Bał się pan egzaminów?

To był dla mnie mistyczny świat. Na korytarzu zobaczyłem Bronisława Wrocławskiego i pomyślałem, że nie mam tu żadnych szans. Byłem bardzo niepewny. Po dwóch latach się to zmieniło, poszedłem do krakowskiego L'art Studio, gdzie spotkałem wspomnianego już Piotra Waligórskiego - reżysera, który mnie ośmielił, zaraził swoim myśleniem o teatrze. To jedna z najważniejszych dla mnie osób.

Ma pan silne związki z Krakowem, ale ostatecznie wyładował pan w Warszawie...

Uwielbiam teatr krakowski, zwłaszcza spektakle Teatru Starego. A z Warszawą trochę śmiesznie wyszło. Łukasz Maciejewski miał z nami serię zajęć warsztatowych, zapraszał do nas różne ciekawe osoby, m.in. aktora z Teatru Współczesnego, który przy okazji obejrzał nasze próby. Po dwóch tygodniach zadzwonił, że ma dla mnie rolę w „Fantazym” i zaprasza na rozmowę z dyrektorem.

A jak to było z tym demokratycznym wyborem spektaklu na festiwal?

Tu nie ma żadnej sensacji. Jest prosta sprawa: przygotowaliśmy jako czwarty dyplom musical z Wojciechem Kościelniakiem *Cyberiada*. W pewnym momencie trzeba było podać listę spektakli, które miały być oceniane, i trzeba było wybrać między *Jungle People* i *Cyberiadą*. Jesteśmy dorosłymi ludźmi, więc profesorowie zapytali nas o zdanie. Wrzucaliśmy anonimowo kartki.

Pan głosował na *Dżunglę*?

Tak, nie wstydzę się tego. Głosowałem na *Dżunglę*, bo chciałem, żeby moi koledzy brali udział w konkursie - musi być jakaś sprawiedliwość. To są moi kumple. Poza tym jesteśmy wydziałem dramatycznym, musical to raczej dodatek. Gdyby wybrać *Cyberiadę*, to w konkursie nie wzięłyby udział osoby, które zrezygnowały z musicalu. Jeden z kolegów grał wtedy główną rolę w teatrze w Kielcach, a drugi stwierdził, że słabo śpiewa i tańczy.

A pan dobrze tańczy?

Jestem w tym do dupy, ale powiedzmy, że mam poczucie rytmu. Wszyscy tańczyliśmy w finałowej scenie *Obrusika* i jakoś dałem radę. Na trzecim roku z okazji festiwalu zrobiliśmy taki pokaz taneczno-wokalny w stylu broadwayowskim. Jak nas w tym ludzie zobaczyli, to stwierdzili, że musimy zrobić musical na dyplom. Stąd się wzięła *Cyberiada*.

Teraz wszyscy są czymś oburzeni, przeciw czemuś protestują. Co pana najbardziej denerwuje w kulturze?

Wkurza mnie, że w filmach wciąż są obsadzani ci sami aktorzy. Zamiast zatrudnić aktora, który pasuje do danej roli, bierze się kogoś znanego z innych filmów, bo wtedy ludzie przyjdą do kina. Nieważne, czy jest do tej roli odpowiedni, ważne, że ma znaną głowę. Mam wrażenie, że reżyserom i producentom nie chce się szukać kogoś nowego.

